



## **Dlaczego świat potrzebuje więcej Kanady?**

**Klaudia Czaboryk**

O debiutanckiej książce, o Kanadzie, o procesie tworzenia – o tym wszystkim miałam przyjemność porozmawiać z Joanną Gierak-Onoszko, reportażystką, dziennikarką i autorką „27 śmierci Toby’ego Obeda”, nominowaną do tegorocznej Nagrody Literackiej im. Ryszarda Kapuścińskiego.

### **Klaudia Czaboryk: Zacznę od dość ogólnego pytania - dlaczego Pani zdaniem Kanada uchodzi za „kraj raj” ?**

Joanna Gierak-Onoszko: Potrzebujemy myśleć tak o Kanadzie, bo potrzebujemy nadziei. Kanadyjska pisarka Margaret Atwood powiedziała kiedyś, że w Kanadzie się nie mieszka, bo to raczej Kanada mieszka w człowieku. To nie obszar geograficzny, ale po prostu pewna filozofia myślenia, nie granice, ale mentalność. Jeśli na państwo patrzymy jak na pewną umowę społeczną, to na Kanadę trzeba patrzeć jako na niekończącą się rundę konsultacji społecznych. To kraj, w którym ciągle i na nowo negocjuje się warunki tej umowy tak, by odpowiadały one potrzebom jak największej liczby mieszkańców. Wie pani, kto jest w Kanadzie uważany za bohatera narodowego? W 2004 roku publiczna stacja telewizyjna CBC przeprowadziła plebiscyt na Kanadyjczyka wszech czasów. W finale znaleźli się m.in. Wayne Gretzky, legenda hokeja, Alexander Graham Bell, wynalazca telefonu, czy plejada mężów stanu, ze zdobywcą Pokojowej Nagrody Nobla, premierem Lesterem Pearsonem czy premierem Pierrem Elliottem Trudeau na czele.

**KC: I kto został bohaterem narodowym?**

JGO: Kanadyjczycy wybrali Tommy'ego Douglasa. To człowiek, który dał im publiczną służbę zdrowia. Jako sześciolatek Tommy uległ wypadkowi i złamał nogę. Źle to wyglądało. Do tego wdała się infekcja, rodzina nie miała środków na kosztowne leczenie i lekarz zarządził amputację. Udało się jednak dotrzeć do prominentnego chirurga, który postanowił zoperować chłopca w ramach projektu badawczego dla studentów medycyny. Wtedy Tommy wyraźnie odczuł, jak wielką barierą w dostępie do zdrowia i sprawności jest brak pieniędzy. Po latach, już jako premier, objął Kanadyjczyków powszechnym dostępem do bezpłatnej służby zdrowia. Co ciekawe, do dziś uważa się, że prawo do bezpłatnych świadczeń zdrowotnych to trzecia szyna w kanadyjskiej polityce – kto jej dotknie, ginie. Państwo opiekuńcze, pomoc najbardziej potrzebującym, bezpłatna i nowoczesna edukacja publiczna i dostęp do świadczeń medycznych zgodnych z oczekiwaniami pacjentów, to zdobycze kanadyjskiej polityki społecznej. Brzmi jak raj? Raczej jak dobrze zorganizowany system, w którym to państwo jest dla obywateli, a nie odwrotnie. Co więcej, kanadyjskie księgarnie reklamują się hasłem, które spopularyzował Bono z zespołu U2 – The world needs more Canada! Świat potrzebuje więcej Kanady! Potrzebujemy Kanady, potrzebujemy do niej aspirować i za nią tęsknić, bo potrzebujemy nadziei. Kanada wypełnia figurę współczesnej Ziemi Obiecanej.

**KC: I nagle, w całym tym naszym zapatrzeniu w Kanadę, pojawia się Pani książka „27 śmierci Toby’ego Obeda”. To mocny, uderzający, wzbudzający emocje reportaż. Muszę przyznać, że nie mogłam przeczytać tej książki za jednym podejściem.**

JGO: Szefowa wydawnictwa Dowody na Istnienie, Julianna Jonek-Springer wyznała mi, że korektorka pracująca nad moją książką też nie mogła przeczytać jej na jeden raz i robiła przerwy. Ale nie dlatego, że były tam literówki. Wtedy chyba zrozumiałam, jaki potencjał ma ta opowieść.

**KC: A czy dla Pani pisanie o tym było wyzwaniem?**

JGO: Samo pisanie nie było wyzwaniem, raczej wysiłkiem. Pisanie to mój fach, więc sam proces nie był trudniejszy, niż bym się spodziewała. Wie pani, co było najtrudniejsze? Weryfikacja. Polegałam na różnych źródłach i archiwalnych, i prasowych, bo większość historii jest współczesna. Dość szybko odkryłam, że wielu autorów, którzy się specjalizują w tych zagadnieniach, przepisuje od siebie nawzajem, powielając nie tylko te same wnioski, ale i błędy, na przykład faktograficzne. Taka techniczna weryfikacja jest żmudna, ale to nie jest nic niezwykłego w pracy reportera. Do tego, błąd w tłumaczeniu czy pomyłkę w druku łatwo można naprawić – ale krzywdy zadanej bohaterowi naprawić się nie da.

Dlatego najtrudniejsze były rozmowy z bohaterami, otwieranie ich wspomnień i zamykanie opowieści w sposób, który nie pozostawiłby moich rozmówców zranionych. Miałam świadomość, że nie pracuję na źródłach historycznych, tylko na prawdziwych emocjach bohaterów, którzy postanowili podzielić się swoimi historiami, przeważnie bardzo trudnymi. Wszystkich z nich można zgooglować, odnaleźć, zweryfikować. To nie kłamstwo formy, wymyślone postacie, ale żywi, prawdziwi ludzie, dlatego ta część pracy była wyzwaniem.

**KC: A co z obiektywizmem? Czy można się odciąć od opisywanych wydarzeń, ukrywać własne emocje i nie oceniać?**

JGO: Spisany wywiad, choćby najtrudniejszy, to jedno. Trzeba bowiem teraz jeszcze nadać tej opowieści formę. A to polega nie tyle na przeplecieniu wątków, co na bezwzględnej redukcji. To praca bez emocji, zimna, techniczna. Trzeba wyłączyć empatię, która jeszcze przed chwilą była niezbędna podczas rozmowy, a teraz przeszkadza. Bo jeśli autor uwielbia jakiś fragment swojej książki, to trzeba go usunąć. Bo to znaczy, że tekst pieści jego ego, a to nie jest wcale dobre dla reportażu i dla czytelnika. W procesie pracy nad tekstem trzeba więc także wygłuszyć emocje, zniszczyć miłość własną, no i przede wszystkim, schować własne wzruszenia. Jeżeli jakaś opowieść jest zbyt liryczna, czułościowa, to znaczy, że jest źle napisana.

Od lat przyglądam się pracy lekarzy, zwłaszcza dziecięcych. Wie pani, jak to często wygląda? Operator ma przed sobą tylko okienko wycięte w zielonym materiale, jakim przykryte jest leżące na stole dziecko. Przez to okienko wprowadza narzędzia do ciała, czasem nawet go bezpośrednio nie ogląda, tylko obserwuje swoją pracę w powiększeniu na monitorze. Robi rzeczy głęboko humanistyczne, ale w sposób absolutnie techniczny. Musi być opanowany, zimny, skuteczny. Na co więc pacjentowi łyż lekarza w czasie operacji? W niczym mu nie pomogą. Myślę, że podobnie jest z dobrym dziennikarstwem, także z reportażem. Na co czytelnikowi łyż autora? To nie jego wrażliwość jest tu ważna, nie jego wzruszenia. Jeżeli tekst jest dobrze napisany i zredagowany, to czytelnik i tak będzie poruszony.

**KC: To prawda, mnie sytuacje, o których opowiada Pani w swoim reportażu poruszyły. Ciężko uwierzyć, że takie rzeczy miały miejsce.**

JGO: Mówi pani, że poruszyły panią te opowieści w czasie lektury. Wielu czytelników mówi mi w kularach po spotkaniach autorskich albo pisze w wiadomościach, że w nich także te opowieści coś uruchomiły. Bardzo często nie chodzi tylko o empatię wobec bohaterów mojej książki, ale o ich własne, prywatne przeżycia. Myślę, że to rola współczesnego reportażu – przywoływać opowieści

bez fikcji i bez znieczulenia, żebyśmy w natłoku informacji, w deszczu nieistotnych memów, linków i depeš, znajdować historie, które nadal nas ruszają. Margaret Atwood mówi, że historie są tym, co nas ciągle ze sobą łączy.

**KC: W reportażu często pada stwierdzenie, że my, Europejczycy, zachwycamy się Kanadą, tak naprawdę nic o niej nie wiemy. Ciężko się z tym nie zgodzić. Postrzegamy ten kraj poprzez pryzmat jego dzisiejszej świetności i popularności, zachwycamy się premierem i nie zgłębiajmy smutnej historii. Znajoma powiedziała mi, że zanim przeczytała Pani książkę nie rozumiała, dlaczego niektórzy zwracają uwagę ludziom mówiącym „Indianie” zamiast „Pierwsze Narody”. Teraz sama uświadamia każdego z kim rozmawia. Czy właśnie to chciała Pani osiągnąć pisząc „27 śmierci Toby’ego Obeda”? Czy chodziło o wzrost świadomości ?**

JGO: To bardzo ciekawe. Bardzo się cieszę, kiedy dowiaduję się, że wiele osób baczniej przygląda się językowi, jakiego używa. Często, nawet bezwiednie, powtarzamy krzywdzące schematy, utrwalamy złe wzorce. Nie ma w tym złych intencji, jest za to brak świadomości. Dostawałam sygnały od Polonii w Kanadzie, że wcześniej przez lata wiele osób z tej społeczności nie zwracało uwagi na język, jakim operuje się w odniesieniu do rdzennych mieszkańców, jakim mówi się o kanadyjskiej historii. Ale to nie tak, że tylko Kanada się z tym zмага i się tego próbuje oduczyć. My też mamy zaszyte w języku zwroty czy wyrażenia, które są naznaczone pogardą, wynikają z niechęci i uprzedzeń. W szczególności dotyczy to wątków antysemickich ukrytych tak głęboko, że na co dzień ich nie widzimy. Proszę zauważyć, że najpopularniejszą grą podwórkową jest „berek”, w którym ucieka się przed nieczystym dotykiem. A Berek to przecież imię żydowskiego chłopca.

**KC: Opisuje Pani historie ludzi, którzy, śmiało możemy to powiedzieć, przeszli przez piekło. Mówi Pani o sytuacji Pierwszych Narodów, którym Europejczycy narzucili swoje prawo, religię i zasady, całkowicie niszcząc ich tradycję i wyznawane wartości. Uderza mnie myśl, że mechanizm „nawracania”, podporządkowywania społeczeństw i zmieniania ludzi jest ciągle ten sam na całym świecie. Czy ma Pani jakąś teorię odnośnie tego, co sprawia, że jedni czują się lepsi od drugich i że uznają swoje wartości za lepsze od innych?**

JGO: Tak, to uderzające, że schematy, które wykorzystano w Kanadzie, by podporządkować sobie rdzennych mieszkańców, tak naprawdę doskonale działają pod wszystkimi szerokościami geograficznymi i w każdym czasie. Zmienia się kalendarz i zmieniają się dekoracje, ale mechanizm – przede wszystkim modus operandi Kościoła katolickiego – jest taki sam. Kościół naturalnie go modyfikuje, adaptując się do lokalnych warunków i możliwości, ale rozmach i zasady są globalne.

Często zadajemy sobie to pytanie: jak to możliwe, że dopuszczano się zbrodni na dzieciach? Że nikt się temu nie przeciwstawił, nie zatrzymał ręki krzywdzicieli? Można powiedzieć, że w Kanadzie przeprowadzono eksperyment społeczny, który odzwierciedla doświadczenia Stanleya Millgrama i Philipa Zimbardo na skalę masową. Osoby, które obdarzono autorytetem opartym na ich przynależności do stanu duchownego, posuwały się do zachowań haniebnych, krzywdzących, przestępczych. Ich autorytet był niepodważalny, więc zło nie do zatrzymania. Księża i zakonnice torturowali dzieci, bo mogli. Nie groziły im za to żadne sankcje.

Długo nie było nad nimi żadnej kontroli – administracyjnej, sądowej, moralnej. Dopiero kiedy uruchomiono mechanizmy znane z teorii państwa, sytuacja zmieniła się. Kolejny raz okazało się, że kontrola zewnętrzna to mechanizm ochronny, który pozwala ocalić dzieci przed wykorzystywaniem przez osoby chronione majestatem instytucji kościelnej. Zresztą ten mechanizm widzimy także w Polsce, prawda?

**KC: Jednak administracja państwowa długo pozwalała na takie zachowania. Co sprawiło, że nagle zareagowali?**

JGO: Przywódcy kanadyjskiego państwa zmienili swoje myślenie o rdzennych mieszkańcach, ale nie zrobili tego sami, lecz pod naciskiem opinii publicznej. Tu wielką rolę odegrali lekarze, dziennikarze, prawnicy, a przede wszystkim sami ocaleni – czyli ci, którzy przeżyli szkoły z internatem, do których zostali wtrąceni jako dzieci.

Te szkoły, stworzone decyzją rządu, ale prowadzone przede wszystkim przez Kościół, były miejscami kaźni. Zamknięto w nich 150 tysięcy rdzennych dzieci. Ostatnia z nich została zamknięta w 1996 roku, ale rany po tym, co robiono dzieciom w tych placówkach, jeszcze się nie zagoiły i prawdopodobnie nigdy się nie zablżnią. Widzimy, że ten potworny eksperyment się nie udał, że zranił, zniszczył, okaleczył całe pokolenia rdzennych Kanadyjczyków. Doszło do tego dlatego, że pochodzący z Europy osadnicy i misjonarze, usprawiedliwiali swoje działania Doktryną Odkryć i opierali silną władzę patriarchalną na przekonaniu, że zbudują Nowy Świat i zbawią jego mieszkańców. Doprowadzili jednak do zagłady – Kanada, także w oficjalnych dokumentach, mówi o ludobójstwie.

**KC: Jak współcześnie Kanadyjczycy radzą sobie z tym zagadnieniem, z tym smutnym rozdziałem w historii ich kraju?**

JGO: Najnowszy rozdział kanadyjskiej historii pokazuje, że Kanada, a właściwie jej mieszkańcy, próbują się z tym trudnym, obciążającym dziedzictwem zmierzyć. Usiłują swoje grzechy nie tylko

zrozumieć, ale i naprawić. Ten proces pojednania jest trudny i raniący dla wszystkich stron, ale Kanada postanowiła na tę drogę nie tylko wstąpić, ale też i z niej nie zbroczyć. Nie znam kraju, który miałby w sobie tyle odwagi, by zmierzyć się z koszmarem swojej historii, by zaprzeczyć mitowi państwowotwórczemu i zbudować na nowo wyobrażenie o sobie. Ogromnie za to Kanadyjczyków podziwiam i tej determinacji im zazdroszczę. Można powiedzieć, że patrząc na swoją historię mówią – tacy właśnie byliśmy, tacy być już nie możemy.

**KC: W książce często pojawia się wątek, że ofiary obecnie mają za złe głównie to, że nigdy nie usłyszały 'przepraszam'.**

JGO: Słowo przepraszam padło wiele razy. „Nous le regrettons, We are sorry, Nimitataynan” – mówił w 2008 ówczesny premier Kanady, Stephen Harper, który na forum parlamentu oficjalnie przeprosił za system szkół z internatem. Wielokrotnie przeproszał też jego następca, obecny premier Justin Trudeau, a także wielu przedstawicieli lokalnych władz, urzędów i uniwersytetów za współudział, lub choćby milczenie w tej kwestii.

Ale przeprosiny nie padły ze strony głównych sprawców. Żaden z papieży nie zdecydował się na przeprosiny za zbrodnie, krzywdy i cierpienie, które Kościół katolicki wyrządził i którego przysporzył rdzennym Kanadyjczykom. Milczenie Kościoła, w świetle wydarzeń, o których opowiada mój reportaż, jest wręcz dudniące, fizycznie bolesne, wwierca się w czaszkę.

**KC: W podziękowaniach przeczytałam, że jest Pani wdzięczna za rady, dzięki którym w Pani reportażu nie ma przymiotników. Dopiero, gdy to przeczytałam uświadomiłam sobie, że rzeczywiście ciężko znaleźć w Pani książce przymiotniki, szczególnie te nacechowane emocjonalnie. Czemu ma służyć ich redukcja do minimum?**

JGO: Powodów jest kilka. „27 śmierci Toby'ego Obeda” to wielowątkowa opowieść. Z jednej strony mamy współczesny reportaż z Kanady, a z drugiej uniwersalną historię zbrodni bez kary i nadziei, że wspólnie można jakoś naprawić nienaprawialne. Uważam, że im większa historia, tym skromniejszej formy potrzebuje, by dobrze wybrzmieć. I odwrotnie – barokowa, nadmiarowa forma zabije dobrą historię. Przekierowuje bowiem uwagę czytelnika na autora, który rozpoczyna swój taniec godowy, chwając się przed czytelnikiem swoimi językowymi zdolnościami. To pewnie przyjemne dla autora, ale dla mnie, jako czytelniczki, zupełnie nie do zniesienia.

Poza tym, bardzo łatwo ukryć swoją ignorancję, indolencję czy jakiegokolwiek braki właśnie w nadmiarze słów. Przymiotniki i przysłowki to sprytny i bardzo tani sposób na opisanie tego, czego się tak naprawdę opisać nie potrafi. Wie pani, jak mnie kiedyś szkolono? Dostałam źle zredagowane

depesze dotyczące rynku finansowego i miałam je przepisać tak, by mogła je bez trudu zrozumieć osoba, która nie ma kierunkowego wykształcenia. Łatwo pisać efektownie, trudno pisać prosto.

Dlatego właśnie, jeśli autor czegoś nie jest pewien, nie potrafi jednoznacznie przedstawić, ale też zweryfikować, podważyć, sprawdzić – to pisze o swoich odczuciach posiłkując się przymiotnikami i przysłówkami. Dla autora to bezpieczne, przydatne narzędzia. Jest ich spory zapas, właściwie nigdy się nie kończą i pozwalają utrzymać uwagę czytelnika, który wie, czego się spodziewać. Obie strony nie muszą się wysilać.

Oczywiście łatwiej byłoby mi napisać, że doświadczenia moich bohaterów były „mrożące krew w żyłach” albo „absolutnie przerażające” – ale to do cna wytarte słowa. To też pokazuje inflację słów – coraz więcej ich używamy, coraz mniej znaczą. Jak wobec tego pisać o krzywdzie, jaką wyrządzili księża i zakonnice dzieciom, którymi mieli się opiekować? Nawet jeśli użylibyśmy wyłącznie przymiotników w stopniu najwyższym, to i tak wydają mi się na to zbyt słabe.

Dlatego oszczędna forma to także zadanie dla czytelnika. Tu nie ma półśrodków, zwodów, jest od razu prawy prosty. Nie ma przyjemnego bufora, nie ma wypełniaczy tekstu, nie ma łagodzenia – jest przedstawienie faktów i czytelnik musi się z nimi skonfrontować sam. A potem jakoś w sobie to unieść, jakoś sobie z tym poradzić.

### **KC: Pozostawia Pani ocenę czytelnikom?**

JGO: Jako autorka uważam, że nie moją rolą jest dzielić się w książce swoimi odczuciami ani oceną tych wydarzeń, bo moja własna perspektywa mogłaby wpłynąć na odbiór faktów. Jeśli usunę z języka przymiotniki i przysłówki, a przez to moją osobistą perspektywę, to czytelnik nie ma wyjścia – musi znaleźć własny sposób na zrozumienie tego, czego się dowiedział i musi sobie z tym jakoś poradzić. To trudniejsze dla obu stron, ale per saldo, lepsze dla doświadczania literatury. Uważam, że tak jak w kinie, tak i w dobrej literaturze autor powinien korzystać ze stylu zerowego, być niewidoczny. Reporter powinien wykonać pracę i przedstawić fakty, ale zadanie ma także czytelnik – musi się sam ze swoim doświadczeniem zmierzyć. To dlatego literatura jest nam potrzebna – możemy mierzyć się z trudnymi doświadczeniami, własnymi i cudzymi, choć w bezpieczny dla siebie samego sposób.

Poza tym taka nadmiarowość w języku nie wydaje mi się elegancka. Zresztą, nie tylko w literaturze to prostota jest formą najczystszej piękna. Proszę spojrzeć na architekturę, choćby na pobliską archikatedrę oliwską. Do jej chłodnych murów wchodzi się przez barokowy, przepyszny portal. Kto o nim pamięta? Kto tak naprawdę zwraca uwagę na te wycyzelowane pociągnięcia dłuta? Najczęściej zachwycamy się nie upiększeniami, ale prostą, strzelistą formą katedry i taki jej obraz w sobie nosimy.

**KC: Czyli prostota formy przede wszystkim.**

JGO: Ta wspólna dla wielu sztuk dbałość o formę to elementarz pisania. Ale to nie historia sztuki, ale jej przyszłość. Coraz częściej myślimy nie o opowieści, którą pokazuje się w różnych mediach, ale o opowieści, która ma swoje różne odsłony w różnych mediach. To zupełna zmiana narracji – przejście od multimedialności do transmedialności.

Taki sposób opowiadania stawia na głowie pielęgnowaną w polskim reportażu, i w literaturze w ogóle, koncepcję autora, który dzieli się ze światem owocami swego geniuszu. Jako jedna z trzech autorek z Polski uczestniczę w czteroletnim programie CELA, Connecting Emerging Literary Artists. To projekt Komisji Europejskiej, która stawia na obiecujących pisarzy i tłumaczy młodego pokolenia. Swoją drogą, to ciekawe, że razem ze mną wybrano do tego projektu dwie inne reporterki, Urszulę Jabłońską i Aleksandrę Lipczak, co pokazuje, że polskie non-fiction ma się w Europie coraz lepiej. Na niedawnym zjeździe w Brukseli uczestniczyłyśmy w zajęciach prowadzonych przez Franka Tazelaara, holenderskiego pisarza, dyrektora Festiwalu Literackiego Wintertuin. Frank jest mocno zakorzeniony w doświadczeniu, ale patrzy do przodu, myśli w dłuższej perspektywie. Analizuje rzeczywistość nie z perspektywy zdarzeń, lecz procesów. Uczy, jak opowiadać historie tak, by usłyszało je młode pokolenie, znudzone tradycją. Szukaliśmy długo odpowiednich ram, odpowiednich form, które pozwalają jak najlepiej wybrzmieć ważnym opowieściom, także tym wywodzącym się z przeszłości. W Polsce tradycja to często presja społeczna ze strony zmarłych – ale można nauczyć się ją opowiadać na nowo, we współczesnej formie. To, co dzieje się dziś literacko w Holandii, ale także we Włoszech, w Hiszpanii, Belgii, przekracza tradycyjne media. To zupełnie nowa forma, musimy ją zaadaptować, żeby też móc być usłyszany. Bez adekwatnej formy nawet najlepsza historia nie działa.

**KC: Na zakończenie, chciałabym nawiązać do sytuacji, w której obecnie się znajdujemy. Epidemia i związana z nią kwarantanna są wielkim wyzwaniem dla nas. Wzbudzają w ludziach skrajne emocje, często wywołują stany lękowe, depresyjne, a nawet agresję. Czy mogłaby Pani podzielić się swoimi spostrzeżeniami na ten temat?**

JGO: Sytuacja epidemii, z którą się dziś mierzymy, zmieni nas na wielu poziomach. Musimy to sobie jakoś wytłumaczyć, objąć rozumem, żeby potem na tym doświadczeniu budować coś nowego. Trzeba znaleźć narzędzia, które pomogą nam się z tym uporać. Jestem przekonana, że powstanie mnóstwo ważnych, krzepiących i poruszających opowieści o tym, kim byliśmy i jak sobie radziliśmy w czasach COVID-19. Literatura kolejny raz przyjdzie nam z pomocą.



**Joanna Gierak-Onoszko**, autorka znakomicie przyjętego reportażu „27 śmierci Toby’ego Obeda” o trudnej próbie naprawienia krzywd wyrządzonym rdzennym mieszkańcom Kanady. Do 2018 roku dziennikarka związana z tygodnikiem „Polityka”. Publikowała też m.in. w „Dużym Formacie”, „Piśmie. Magazynie Opinii” i „Non-fiction”. Laureatka programu Komisji Europejskiej CELA (Connecting Emerging Literary Artists, 2019-2023) dla obiecujących twórców literatury. Za swoją debiutancką książkę o Kanadzie nominowana do nagrody Odkrycia Empiku 2019 w kategorii „Literatura”, do nagrody MediaTORY 2019 w kategorii ObserwaTOR. Laureatka wyróżnienia „E-book Roku 2019” w plebiscycie portalu Publio.pl, nominowana w plebiscycie „Książka Roku 2019” portalu Lubimyczytać.pl w kategorii „Literatura faktu, publicystyka”. Laureatka nagrody dla najlepszego reportażu prasowego na Festiwalu Wrażliwym za tekst o międzynarodowej akcji ewakuowania psa z Aleppo (2017). Nominowana do Polsko-Niemieckiej Nagrody Dziennikarskiej im. Tadeusza Mazowieckiego za reportaż o lekarzach i wolontariuszach z Berlina wobec uchodźców (2015). Absolwentka Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Szkoły Reportażu.

**Kludia Czaboryk**, absolwentka filologii romańskiej na Uniwersytecie Gdańskim. Obecnie studiuje Italianistykę. Od 2018 współpracuje z gazetą "Literacką" na Festiwalu Literacki Sopot.